

MONIKA A. OLEKSA

Historia miłości, która musi przetrwać mimo przeciwności losu.
Opowieść o trudnych decyzjach, ludzkich słabościach i umiłowaniu
życia. O dostrzeganiu niedostrzeganego.

Miłość w kasztanie zaklęta

FILIA

MONIKA A.OLEKSA

*Miłość w kasztanie
zaklęta*

FILIA

Marta położyła dziennik na stoliku i popukała się palcem w czoło.

Adam pomyślał, że wygląda dziś wyjątkowo ładnie. Czarne włosy zebrała wysoko i spięła z tyłu głowy klamrą w odcieniu morskiej zieleni, równie intensywnym jak jej oczy, błyszczące dzisiaj dawno już niespotykanym blaskiem. Wyglądała bardzo dziewczęco, prawie nieprzyzwoicie młodo jak na to miejsce. Powagi dodawała sobie jedynie delikatnym makijażem i ciemną garsonką ze spódniczką kończącą się przepisowo tuż powyżej kolan. Lubił tę dziewczynę i ubolewał nad jej nie najszcześniejszym życiem. Pokochał ją jak siostrę, gdy tylko zaczęła uczyć w tym liceum. Byli prawie rówieśnikami, oboje zapaleńcy, oboje świeżo po studiach. Mieli wielkie ideały, ambitne plany pracy z młodzieżą w wieku dojrzewania. On – zapalony historyk, zakochany we Francji i Napoleonie; ona – filolog, z pasją wprowadzania młodzieży w zawilóści angielskiej gramatyki.

Ich zapal wyczerpał się po roku; następny rocznik uczyli już według schematu – nie według ideałów.

Rok po roku Adam Rogalski poznawał Martę coraz lepiej i nauczył się ją kochać miłością, jaką darczy się najlepszemu przyjacielowi. Nie było między nimi „chemii”, dlatego też nigdy nie zaiskrzyło – towarzyszyła im jednak pewność, że zawsze, w każdym momencie ich zaplątanego życia, mogą na siebie liczyć.

I właśnie teraz, gdy nadszedł czas, by oboje zrobili coś z resztą swojego życia, ona oznajmia, że zakochała się w profilu nieznanego mężczyzny...

– Nie jest zbrojcem. Gdybyś zobaczył jego twarz... Adam, jego oczy wyglądają tak, jakby utonął w nich cały smutek tego świata!

– I do tego ma obrączkę!

– Fakt... Ale nie jest szczęśliwy w małżeństwie.

Poczuła mocne, męskie dłonie na swoich ramionach. Czuła, że Adam chce potrząsnąć nią z całą siłą wieloletniej przyjaźni. Nie zrobił tego jednak. Powiedział tylko:

– Nie pakuj się w to. Proszę cię. Zrobisz sobie krzywdę.

A potem zabrał dziennik III c i wyszedł w rozkrzyczany tłum młodych ludzi, już nie dzieci, a jeszcze nie dorosłych.

Marta miała okienko, nie musiała więc nigdzie się spieszyć. Spojrzała w okno. Październikowe słońce rozgrzewało stęsknione za latem twarze przechodniów, rozpinano guziki płaszczy i błyskawiczne zamki kurtek, zapraszając na łyk pachnącego jesienią powietrza. Chciała uciec do parku, zająć znajomą ławkę i czekać, aż przyjdzie ON i usiądzie na swoim stałym miejscu. A gdyby tak zająć kiedyś jego ławkę? Co by zrobił? Czy szukałby innej, chroniąc swoją samotność, czy też przysiadłby obok niej? A gdyby zaczęła rozmowę... Co by pomyślał? Że jest jedną z tych

podobnych do siebie panienek szukających przelotnej znajomości i dobrego seksu czy może interesującą kobietą, z którą dobrze mu się rozmawia?

Jeszcze dwie godziny i będzie mogła przejść przez park.

Jeszcze dwie godziny z rozkrzyczanymi III e i I b i usiądzie w parku.

Tak, dzisiaj to zrobi. Zajmie jego ławkę. A potem będzie czekać.

Czekała trzy kwadranse. Bawiła się lśniącym kasztanem i rozmawiała w myślach z wiecznie odlatującym łabędziem. W torebce czuła ciężar stosu prac do sprawdzenia, a wieczorem czekały ją jeszcze trzy godziny korepetycji. Wyjęła pióro, które dostała od Adama na Gwiazdkę, po czym w wielkim, przestronnym kalendarzu pod datą „dwudziesty trzeci października” zapisała zaledwie trzy słowa: „Dziś nie przyszedł”.

– 3 –

Piotr otworzył okno gabinetu i zachłysnął się aromatycznym październikowym powietrzem. Dzień był przepiękny, wymarzona pogoda na spacer. Przez chwilę z wysokości szóstego piętra obserwował nieustanny ruch na chodnikach. Ludzie mijali się bez uśmiechu, spiesząc dokądś – tam i donikąd.

Przepychali się i poszturchiwali nieuprzejmie... Mało kto w ogóle zauważał, że świat jest dziś tak pięknie umalowany wszystkimi barwami jesieni. Życie w dwudziestym pierwszym wieku goniło dni i straszło nocami. Tak mało pozostawało w nim miejsca na prostą radość z rzeczy najdrobniejszych, chociażby z tak urokliwego popołudnia.

„Nie rozumiem tego pośpiechu. Nie umiem z tym żyć. Chcę cieszyć się każdą chwilą, każdym kolorem jesiennego liścia, ciepłem słońca i kasztanami. Spójrz, Piotruś, czyż kasztany nie są czymś najpiękniejszym, co stworzył dla nas Bóg?”

Maria kochała kasztany. A Piotr kochał Marię.

Bóg stworzył Marię dla niego, aby była mu opoką – skałą jego życia.

A potem ją zabrał. Właśnie jesienią. Obsypał świat kasztanami i podarował je ludziom, a jemu odebrał Marię.

Dwudziesty trzeci października. Dokładnie rok temu. To już rok bez Marii.

Jeden rok jego życia. Życia pustego, wydrążonego...

Czasami odnosił wrażenie, że została z niego tylko skorupa i niewiele trzeba, by się potłukł, rozpadł na kawałeczki. Nic takiego się jednak nie stało. Wciąż żył. Nadal dawał kobietom nadzieję, leczył ich niepłodność, doradzał najlepsze metody antykoncepcji, wielu z nich ocalił życie. I sam wciąż żył. Odrywał kolejne kartki z kalendarza, próbując przebrnąć przez

jeszcze jeden dzień. Ale w każdy z nich wchodził z lękiem i sam sobie po raz tysięczny zadawał pytanie: „Czy zdołam go przeżyć bez Marii?”.

Jak dotąd zdołał. Ale życie bolało.

Drgnął, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi. Odwrócił się i spojrzał na ładną i ufną twarz pielęgniarki. Nawet nie pamiętał jej imienia.

– Panie doktorze, szuka pana ordynator. Powiedziałam, że prawdopodobnie pan już wyszedł, ale polecił mi sprawdzić.

– Już mnie tu nie ma, siostrzo. Proszę mu przekazać... – Spojrzał jej prosto w oczy i dodał już ciszej: – Proszę mu powiedzieć, że dzisiaj jest dwudziesty trzeci października.

– Rozumiem. Do widzenia, panie doktorze.

Cicho zamknęła za sobą drzwi i odeszła pustym korytarzem.

Dwudziesty trzeci października. Wszyscy na oddziale znali tę datę, ordynator również. Kochał Piotra jak syna, próbował zająć go pracą. Ale tego cierpienia wyleczyć nie potrafił. Niestety, dotąd nie wynaleziono jeszcze lekarstwa na taki ból.

Kwiaty zawsze kupował „na murku”. Mieli tu najpiękniejsze i zawsze świeże róże. Maria kochała róże, a on uwielbiał ją nimi obsypywać. Gdy wracał z nocnego dyżuru, zawsze tu wstępował, prosząc o jedną, długą, czerwoną różę. Tuż po przebudzeniu Maria znajdowała ją na poduszce Piotra. Jej bursztynowe

oczy rozświeślały się wówczas radością i odbijały światło równie pięknie jak obrączka na serdecznym palcu. Patrzył na nią, rozleniwioną, rozgrzaną snem i marzeniami, i wiedział, że odda cały swój świat, całego siebie za jeden uśmiech i jedno „dzień dobry” o poranku.

Dziś niósł jej róże z dumnie uniesionymi główkami, obsypanymi białym kwieciem i czuł, jak z każdym krokiem jego serce po raz trzysta sześćdziesiąty piąty pęka na tysiące małych kawałeczków.

„Lubię stare cmentarze. Zatrzymaj się... Słyszysz ciszę, która przemawia do ciebie śpiewem ptaków? A te liście... Rozpoznajesz ich szelest? Ludzie mówią, że to wiatr bawi się gałęziami drzew i rozsyła kolorowe pocztówki w świat, ale ja wiem, że to nie wiatr. Posłuchaj, Piotr, to ci, co odpoczywają tu po trudach życia, to zmarli... To oni szepczą w gałęziach cmentarnych drzew. Jaki tu spokój... Nie mogę uwierzyć, że znajdujemy się w centrum miasta...”

– Wróć do mnie, Maleńka... – szepnął. – Pozwól mi się usłyszeć w szeleście liści... Chciałem cię odnaleźć w kasztanach, ale szukałem... nadaremnie. Zostawiłaś mnie tak bez słowa... Obiecywałaś przemierzyć ze mną świat, zjeść beczkę soli. Nie dotrzymałaś słowa. Zabrałaś wszystko. Wszystko... Tylko Miłosa zostawiłaś. Wybacz mi, Maryniu... Wciąż nie mogę... Gdy patrzy na mnie twoimi oczami i odgarnia ten kosmyk z czoła zupełnie jak ty... nie potrafię przy nim być. Wybacz mi...

– Wiedziałam, że cię tu dziś zastanę.

Podniósł głowę, którą dotąd trzymał wspartą na dłoniach, po czym wstał z drewnianej ławki. Ciemnosiwą płaszcz zatrzepotał porwany wiatrem, strząsając okruchy zbutwiałego drewna, które wplątały się w tkaninę jak smutek w życie Piotra.

Odwrócił się z niechęcią.

Nawet z daleka czuł smród alkoholu, wlokący się niczym mgłą kiepskich perfum za starą kobietą. Tak, była stara. Miała raptem sześćdziesiąt lat, a wyglądała jak zmęczona życiem staruszka. Pijana. Zaniedbana. Toksyčna.

Do końca miał nadzieję, że jej nie spotka.

– Musiałam przyjść. Przyniosłam lampkę...

– Drżącą dłonią postawiła na chłodnej granitowej płycie kamionkowy znicz. Nerwowo przeszukiwała kieszenie wytartego płaszcza w poszukiwaniu zapalek. Nie mógł na to patrzeć. Podszedł i zrobił to sam.

Nie pragnął jej towarzystwa, ale nie mógł też zacząć jej odejść. Była matką Marii.

– Wiem, co czujesz.

– Skąd ma... – urwał.

Słowo „mama” nigdy nie mogło mu przejść przez gardło. Gardził tą kobietą, wiedząc, ile nocy Maria przez nią przepłakała, jak wiele modlitw wyszeptowała, wierząc, że wyjdzie z nałogu. Wszystko na próżno. „Procentowy” przyjaciel był wierniejszy – koił,

uspakajał, znieczulał. I każdego dnia pojawiał się na zawołanie, kusząc obietnicą szczęścia.

Nie trzeźwiała nawet wtedy, gdy Maria umierała.

– Nikt nie wie, co czuję – rzucił szorstko. – Zresztą... Ja już niczego nie czuję, bo mnie już nie ma. Nie potrafię żyć bez Marii.

Szorstka dłoń kobiety dotknęła jego ręki. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, króciutką chwilę ciepła, którego nie miał serca odtrącić.

– Wiem, że niejednokrotnie zastanawiałaś się, dlaczego to ona... Ja też o tym myślę. Każdej nocy. Dlaczego to nie ja... Piotr! Ja też czuję. I nie ma dla matki większej tragedii, niż pochować własne dziecko. Nie musisz mi wierzyć i...

– Idź już. Chcę zostać sam.

Odwróciła się, postawiła krok i zachwiała się lekko, tak, jakby wiatr zaskoczył ją nagłym porywem. Przez kilka sekund zmagala się ze sobą, a potem, ze wzrokiem wbitym w zakurzone buty, zwróciła się do niego cicho:

– Piotr, czy mógłbyś mi pożyczyć pięćdziesiąt złotych? Nie dostałam jeszcze renty... Oddam ci. Na pewno ci oddam.

Wiedział, że nie odejdzie. Bez słowa wyjął stułotowy banknot i podał go kobiecie. Za to, by zostawiła go samego, gotów był zapłacić każdą sumę.

– Piotrusiu, oddam ci na pewno. Jak tylko dostanę rentę, masz moje słowo. – Wyblakłe oczy rozblęskły iskierką radości.

– Idź już, proszę...

– Idę. I... wiesz co? Pojadę do Miłoszka. Kupię mu coś ładnego i pojadę do niego. Tak, pojadę. Piotr, dlaczego ty go nie odwiedzasz? Tak przecież nie można. On tęskni...

– Proszę cię, chcę być sam.

– Idę już. Nie bój się, na pewno ci oddam. Przy rencie.

Wiatr zakołysał liśćmi, pieszcząc je chłodnym oddechem, a potem porwał do tańca rozpięte poły płaszcza. Płasał z nimi, okręcając je jak w walcu, w końcu zawirował z szalem przytulonym do szyi. Gdy znudził się tą zabawą, rzucił pod stopy mężczyzny kasztan lśniący brązem z białym oczkiem w środku.

Piotr podniósł go i zacisnął w dłoni.

– 4 –

Piotr siedział w gabinecie i patrzył zamyślony w szpitalne okno.

„Nazywa się Maria i ma najpiękniejsze oczy na świecie: bursztynowe, wielkie jak orzechy. Od wczoraj, odkąd została moją pacjentką, nie mogę przestać o niej myśleć. Czyżbym się zakochał? To śmieszne. Nie w moim wieku! Nie wierzę w miłość od pierwszego wejrzenia, a już tym bardziej w miłość od pierwszej wizyty. Przystał ją

do mnie profesor Saniewski, gdyż podobno jestem najlepszym specjalistą od niepłodności. Podobno... Tak o mnie w każdym razie mówią ludzie.

Chciałbym jej pomóc, tylko nie mogę skupić się na pracy, kiedy co rusz odgarnia z twarzy ten niesforny skręcony kosmyk. Jej włosy w kolorze jesiennych liści niczym małe spiralki opadają na plecy i ramiona. Wygląda jak Pani Jesień w tym swoim rozwianym płaszczu i pośpiechem w torebce. Pani Jesień... Śmieszne skojarzenie. Może to dlatego, że właśnie zaczął się październik?

Maria... Piękne imię. I piękna kobieta.

Jaka szkoda, że jest mężatką..."

Doktor Piotr Domański był jej ostatnią nadzieją.

Profesor Saniewski zapewniał, że to wybitny lekarz – wręcz cudotwórca, który potrafi przywrócić nadzieję nawet tam, gdzie medycyna czuje się bezsilna. Maria uwierzyła. Musiała uwierzyć. Uchwyciła się tej myśli kurczowo, bo bardzo pragnęła mieć dziecko.

Gdy trzy lata temu przekroczyła próg trzeciej dekady życia, jej serce zapalało tak intensywnym pragnieniem macierzyństwa, że zapach dziecka rozpoznawała z odległości kilkudziesięciu metrów. Już dawno przestali się z Grzegorzem zabezpieczać i z nadzieją witali każdy upływający bez miesiączki dzień, lecz na testach ciążowych, na które zdążyli już wydać majątek, wciąż

uporczywie ukazywała się jedna niebieska kreska. „Przykro mi, nie tym razem”. „Proszę spróbować ponownie”. Więc próbowali. Wciąż bezskutecznie.

Po kilku miesiącach wyczekiwania zrobili badania. Najpierw Grzegorz, potem Maria. Wszystko było w porządku. I tylko dziecka wciąż nie było, choć stworzyli mu warunki, na jakie większość młodych małżeństw nie może sobie pozwolić.

Dlatego gdy profesor Saniewski, rozkładając bezradnie ręce, podał jej numer tego lekarza, Domańskiego, pomyślała, że musi to być znak, że Bóg nie pozwoli na kolejne rozczarowanie, nie będzie ich łudził w nieskończoność.

Tamtego październikowego popołudnia umówiła się na wizytę.

Miał na imię Piotr...

– 5 –

Siedział na ławce skulony, wpatrzony w wysychający staw. Jego blada twarz znów zastygła w maskę bólu, zgaszone oczy przenikały przez mglistą zasłonę rzeczywistości, zdając się wypatrywać czegoś, co było nieosiągalne tutaj, w tym parku, w tym mieście, na tym świecie...

Marta przysiadła na sąsiedniej ławce. Bawiła się kolorowym bukietem liści zebranych po drodze. Patrzyła na niego, a jej serce ścisnęło się w odruchu współczucia

i zwykłej ludzkiej litości. Chociaż obiecywała sobie, że zajmie jego ławkę lub po prostu usiądzie obok, dziś nie miała odwagi tego zrobić. Poraził ją swoim widokiem. Tym razem był nieogolony, miał opuchniętą twarz. Od płaczu, bezsennej nocy, czy z powodu jednego kieliszka za dużo? Marta patrzyła na jego biały szal, który przytulał się do ziemi, zmiatając na bok usychające liście, a potem bawił się z wiatrem, tańcząc w euforii i opadając bez sił na poły płaszcza.

A potem wszystko stało się tak nagle.

W parkowej alejce pokrytej wilgotnymi liśćmi rowerzysta nie miał szans, by wyhamować przed dzieckiem, które nagle, nie wiadomo skąd, pojawiło się na ścieżce.

Płacz dziecka, krzyk matki, przekleństwo rowerzysty.

Marta była najbliżej. Sekundę później klęczała przy poszkodowanej, z przerażeniem wpatrując się w nie naturalnie wygiętą rączkę i krwawy siniec nad okiem, który błyskawicznie powiększał się i niebezpiecznie rozlewał po twarzy dziecka. Nie miała pojęcia, co robić, gładziła więc tylko buzię dziewczynki i patrząc w jej wielkie, błękitne oczy, zapewniała, że wszystko będzie dobrze, że już za chwilę przestanie boleć.

Silna dłoń ścisnęła jej ramię i odciągnęła na bok.

– Proszę mnie przepuścić, jestem lekarzem.

Pewne ręce szukały obrażeń na skulonym ciele małej dziewczynki. Spokojny głos przemawiał do

skamlącego dziecka, ale smutne oczy unikały wzroku matki.

– Czy ktoś z państwa ma telefon? Muszę połączyć się ze szpitalem.

Drżące dłonie Marty wygrzebały z torebki komórke. Drżał również jej głos, gdy podawała telefon mężczyźnie.

– Proszę. – Przelotnie dotknął jej dłoni, a ona poczuła ciepło.

Nie mogła patrzeć na cierpienie tego dziecka. Jej oczy wezbrały łzami, ich słony potok przelał się przez kąciki oczu i popłynął nieprzerwanym strumieniem w dół policzka. Odwróciła głowę. Jedyne, co mogła zrobić, to chwycić drżące ręce młodej matki, a potem patrząc jej odważnie w oczy, szeptać, że wszystko skończy się dobrze.

Słyszała ciepły męski głos wydający przez telefon suche, służbowe polecenia:

– Mówi Domański. Proszę przysłać karetkę do Parku Saskiego. Najszybciej, jak tylko się da. Przygotujcie miejsce na OIOM-ie, sprowadźcie doktora Banasiewicza i kogoś z chirurgii urazowej. Tak... Dziewczynka około trzech lat. Potracił ją rowerzysta. Tak, wiem, pospieszcie się, dziecko ma prawdopodobnie krwotok wewnętrzny, ja tu nic nie zrobię. Tak... Czekam.

Marta czuła, jak ręka młodej kobiety zaciska się kurczowo na jej dłoni. Nie była w stanie myśleć, miała pustkę

w głowie, widziała jedynie przerażone oczy dziecka. Już nie płakało, drżało tylko niczym pisklę, które wypadło z gniazda.

Sygnał karetki docierał do niej jak przez mgłę, pulsując w skroniach niebieskim światłem.

– Niech mi pani pomoże... Ta kobieta jest kompletnie nieprzytomna. Czy może pani z nią pojechać?

Skinęła bezwiednie głową. Świat wokół wciąż wibrował i był przeciągłym jękiem erki, głowa młodej matki opierała się o kolana Marty, a ona patrzyła tylko na szeroko otwarte oczy małej dziewczynki i powtarzała słowa modlitwy różańcowej, błagając Boga, by nie pozwolił zgasnąć temu młodemu życiu.

O komórce zupełnie zapomniała.

Rozdział drugi

Maria

– 1 –

Co za dzień!

Wszystko leciało jej z rąk. Czego nie dotknęła, pękało, zamieniając się w bezużyteczne skorupy. Nie była w stanie zebrać myśli, nie mogła się na niczym skupić. Stos niesprawdzonych testów piętrzył się na dębowym biurku i zdawał się patrzeć z wyrzutem, jak Marta przelewa czas w próżnię i po raz nieskończenie kolejny roztrząsa wydarzenia wczorajszego popołudnia.

W takiej chwili dzwonek do drzwi był ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwała i pragnęła.

– O mój Boże, jak ty wyglądasz!

Adam patrzył z troską na kredowobiałą twarz kobiety, zmierzwił włosy i drżące dłonie. Przywykł już do sobotniego szlafroka i rozdeptanych kapci Marty, ale kataklizm w kuchni i potłuczone szkło były

WIERZĘ W TO, ŻE MIŁOŚĆ JEST
NIEŚMIERTELNA. NIE ISTNIEJĄ DLA NIEJ
CZAS ANI ŻADNE GRANICE. ONA TRWA,
WBREW NAM, WBREW ZWĄTPIENIU,
WBREW ZDROWEMU ROZSĄDKOWI,
WBREW WSZYSTKIEMU.

Marta, samotna trzydziestoparoletnia nauczycielka,
ma przyjaciół, plany i marzenia, ale nie ma nikogo
bliskiego, z kim mogłaby się nimi dzielić. Przedwczesna
śmierć rodziców, a potem odejście ukochanej babci
pozostawiły w niej głęboki ślad oraz poczucie ulotności
i kruchości ludzkiego życia. Marta wie jednak, że
wszystko ma swój czas, i dlatego czeka na księcia
z bajki. Niespodziewanie w jej życiu pojawia się Piotr.
Kim jest jednak tajemnicza kobieta, która zakłęta
w kasztanie swą miłość do Piotra i do małego Miłosza?
Czy ich losy, w zadziwiający sposób wplecione w życie
Marty, się połączą? Czy Marta jest gotowa na przyjęcie
wszystkiego, co przyniesie jej przyszłość?

FILIA

cena 49,90 zł

wydawnictwofilia.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8402-172-9



9 788384 021729